

Wywiad dr Ewy Solskiej i dr. hab. Piotra Witka z prof. TIMOTHY SNYDEREM: Historia prawdziwa – naukowa i wielostronna – jest najlepszą polityką historyczną



Timothy Snyder, profesor Yale University, specjalista w zakresie współczesnych dziejów Europy Środkowej i Wschodniej oraz historii nowożytnego nacjonalizmu. (fot. Edyta Pietrzak)

***Historia prawdziwa
– naukowa i wielostronna –
jest najlepszą polityką historyczną***

**Wywiad dr Ewy Solskiej i dr. hab. Piotra Witka
z prof. TIMOTHY SNYDEREM**

Ewa Sol ska, Piotr Witek: Panie Profesorze, jesteśmy metodologami i patrzymy na pracę historyków nie tylko pod kątem metody i teorii badań historycznych, ale też próbując ją analizować w kontekstach, czego przykład dał zresztą prof. Jan Pomorski, wyróżniając dwa obszary Pana dziejopisarstwa. Pierwszy to biografistyka, która w naszej ocenie nawiązuje do pewnych ujęć mikrohistorycznych. Mamy tu trzy biografie: Kazimierza Kelles-Krauza, Henryka Józewskiego i Wilhelma von

Habsburga. Ale w tych opracowaniach nie chodzi tylko o ich bohaterów, chociaż nazwalibyśmy ich (za Piotrem Mitznerem) postaciami zwielokrotnionymi, bo nie da się ich usytuować w jednym środowisku, w jednym zawodzie, w jednym czasie i jednej przestrzeni. Przecież mamy w nich jeszcze typową dla mikrohistorii próbę pokazania całej epoki jakby przez soczewkę jednego życia. Drugi obszar to historia transnarodowa. I tu chcemy się dowiedzieć, co znaczy to określenie dla Autora i dlaczego znaczy. Dla nas jest to historia pisana w perspektywie podejścia *cross-culture studies*, *histoire croisée* (historia wzajemna, skrzyżowana, powiązana) i *Gemeinsame Geschichte*, czyli historii współdzielonej. Wreszcie trzeci obszar, którego prof. Pomorski nie uwzględnił, a chcemy go tu uwydatnić, czyli tzw. historia jutra, która w pewnej mierze mieści się w nurcie literatury ostrzegawczej, nader znaczącej w tradycji europejskiej. W tym przypadku chodzi o dwie książki – *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku* i najnowszą, *The Road to Unfreedom: Russia, Europe, America* [w pierwszym kwartale 2019 r. ma się ukazać w przekład polski: *Droga do niewolności. Rosja, Europa, Ameryka*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2019]. Przy tym wyraźne jest w nich ukierunkowanie pod kątem refleksji aksjologicznej i deontologicznej w odniesieniu do samej nauki historii; można tutaj przywołać jedno z pytań Kantowskich: Co należy czynić, jak powinniśmy postępować? Czytelnik odnosi wrażenie, iż Pan Profesor sygnalizuje, że jeśli nie wrócimy jako obywatele, a w szczególności jako historycy uczeni, do myślenia w kategoriach wartości i sporów o wartości, zwłaszcza o wolność i prawdę, to, krótko mówiąc, będzie coraz gorzej.

Timothy Snyder: Moja pierwsza ogólna uwaga będzie taka, że nie funkcjonuję programowo, więc można odczytać to, co robię, w taki sposób, jak to przedstawiliście, ale wcale nie jest tak, że ja mam program i uważam, że mam trzy punkty i je wypełniam. Wystrzegam się takiej autocharakterystyki, bo mam wrażenie, że jeżeli się zbyt ściśle określę, to sam włożę na siebie kajdany. Jeżeli przyjmuję jakiś program, to będę musiał go wypełniać, więc to nie jest tak, że totalnie się nie zgadzam, ale przyjmuję, że historyk nie będzie dobrze uprawiał historii bez pewnej dozy ryzyka, dowolności, nieprzewidywalności. Odpowiadając na pytanie co do tego pierwszego obszaru, to jest dobry przykład, bo tak, to prawda, że napisałem trzy biografie, ale w żadnym wypadku nie miałem zamiaru pisać biografii. Jeżeli chodzi o Kelles-Krauza, to chciałem napisać studium o powstaniu współczesnej polityki w Polsce na podstawie trzech postaci, ale uważałem, że pierwsza postać jest wystarczająco ciekawa, żeby napisać całą pracę doktorską, i tak się stało. Jeżeli chodzi o Józewskiego, temat pochodził pośrednio z *Rekonstrukcji narodów* [*Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999*, wyd. polskie 2006], w której opisałem wydarzenia na Wołyniu i jeszcze miałem przed sobą taką zagadkę: dlaczego, choć przed tymi wypadkami była na Wołyniu polityka tolerancji dla Ukraińców, parę lat potem dokonały się czystki etniczne? I jak już miałem przed oczyma Józewskiego, to zrozumiałem, że jest to postać, jak zauważyliście, wielu wymiarów, która zasługuje na więcej uwagi. Interesował mnie jako państwowiec i ktoś, kto uważał narody właściwie za twory mistyczne. Uważał, nie tylko moim zdaniem słusznie, że narody się ze sobą komunikują przez sztukę, humanistykę, pieśni. Jeżeli chodzi o Habsburga,

to od 25 lat, może trochę więcej, pracuję nad studiami rodzin narodowościowo podzielonych, gdzie brat albo siostra wybiera jeden albo drugi kierunek tożsamościowy i oboje staną się ważnymi postaciami w różnych narodach, po czym historia zapomina, że należały one kiedyś do jednej rodziny. Na przykład Narutowicz – miał brata Litwina, Szeptycy byli polsko-ukraińscy; tu może być dużo takich przykładów. I Wilhelm von Habsburg wydał się Ukraińcem, choć miał być Polakiem i w rodzinie miał Polaków. Trafiłem zresztą na źródła, które pozwoliły mi napisać całe studium biograficzne. Często uważa się, że biografia to gatunek konserwatywny, niemodny, ale wydaje mi się, że jest to forma, która na dużo pozwala. Autor ma tu dużą rozpiętość tematów i kontekstów, bo życie człowieka właściwie dotyczy prawie wszystkiego i też życie jednej barwnej postaci pozwala na nieoczekiwane odkrycia w historii jednego narodu. Stosunkowo niewiele jest w polskiej historiografii prac o okresie międzywojennym w ujęciu pewnych ciągłości, a Józewski trochę wypełnia tę lukę. Austriacy wolą nie myśleć o historii międzywojennej w ogóle, a Wilhelm von Habsburg nam pozwala widzieć, jakie są momenty ciągłości od epoki Habsburgów do epoki międzywojennej. Wydaje mi się, że tutaj kryje się ważna reguła dziejopisarstwa: jeżeli historyk skonfrontowany ze źródłami nie zmienia tematu, to coś jest nie tak z jego metodologią; źródła zawsze powinny nas zmienić, nie tylko akcenty, ale właściwie cały temat. Co do tego drugiego obszaru – historii transnarodowej – owszem, tutaj zaczynamy od tego, że monopol historii narodowej jest tak silny, nie tylko w Polsce, iż nie jesteśmy w stanie tej metody widzieć jako metody; jest jak powietrze po prostu. Polska jest tak naturalna jak powietrze i Polakom wewnątrz polskiej kultury, polskiego społeczeństwa bardzo trudno będzie widzieć ten temat tylko jako temat. Jesteśmy jak, zmieniając analogię, ryby w wodzie i mamy studiować tę wodę, albo mamy studiować coś, co jest w tej wodzie, ale nie widzimy tej wody, bo woda jest taką naturalną rzeczą; to dotyczy też Amerykanów. Amerykańska historiografia jest bardzo nacjonalistyczna i narcystyczna właściwie. Chodzi więc o to, żeby od samego początku nie kwestionować historii narodowej, ale po prostu robić coś innego, w innym podejściu, zaczynając od innych zasad. Ja na przykład w *Rekonstrukcji narodów* i też w *Skrwawionych ziemiach* [Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem, wyd. pol. 2011] zaczynam nie od państw i nie od granic dzisiejszych, ale od terytorium inaczej określonego. W obu tych książkach, mimo wszystkich różnic, koncentruję się na tym samym terytorium i to pozwala na uchwycenie, jak narody się zmieniają i jak państwa się zmieniają. I to pokazuje, że państwo narodowe wcale nie jest czymś trwałym, przeciwnie – jest w zasadzie wyjątkiem. Nawet jeżeli istnieje, to istnieje na różnych terytoriach, w różnych momentach, w różnych formach. Chodziło więc o to, ażeby narody i państwa były tematami, przedmiotami studium, a nie żeby były założeniami. To wcale nie jest skomplikowane, po prostu trzeba zmienić perspektywę i wybrać coś oprócz narodu, żeby widzieć naród. Chodzi o to, żeby w ten sposób uchwycić te istotne zmiany narodu, bo jak na przykład rozumieć odmienność narodu polskiego powojennego w porównaniu z narodem polskim przedwojennym bez poważnego skupienia się nad historią Żydów i Ukraińców? To nie jest możliwe, bo nie można Żydów i Ukraińców widzieć po prostu jako „brak”. Czy Polacy z Wołynia, którzy osiedlili się, dajmy na to, koło Gdańska – ich polskości nie można rozumieć bez tych poprzednich doświadczeń. Wydaje mi się więc, że historia transnarodowa jest potrzebna, by rozumieć historię narodową właściwie, przy czym pozwala na porównanie. W tych książkach, które tu

przytoczyłem, na końcu robię właśnie pewne porównanie. W *Rekonstrukcji narodów* nie porównuję narodu litewskiego i polskiego pod kątem różnic, lecz podobieństw choćby pod względem tego, że oba powstały dzięki buntowi przeciwko Rzeczypospolitej. Głęboko, strukturalnie są więc podobne, i to jest porównanie, które jest niemożliwe, jeżeli zaczynamy od dzisiejszych form tych narodów, ale i jeżeli zaczynamy od samoopisów tych narodów. Tego się wtedy nie zobaczy. Natomiast ten ostatni wątek – historia jutra, historia w stronę przyszłości – macie rację, coraz bardziej jestem przekonany, że historia sama jest właściwie formą myślenia politycznego i etycznego, które skierowane jest w przyszłość. Tymczasem jesteśmy konfrontowani z polityką, która, opierając się na myśleniu ahistorycznym, deterministycznym, podważa sens przyszłości jako tego, co niezdeterminowane, i poniekąd niszczy czas historyczny. Można się też schronić za oczywistym stwierdzeniem, że jesteśmy dyscypliną naukową, ale każda dyscyplina ma swoją etykę i historia ma to do siebie, że jeżeli istnieje, to istnieje wobec i przeciwko wszystkim narracjom deterministycznym. Powtórzę: determinizm w zasadzie podważa sens historii. Jestem przekonany, że w historii nieunikniona jest treść etyczna i polityczna, aby zwalczać myślenie deterministyczne w polityce bieżącej. Czy inaczej rzecz biorąc – będąc historykiem, nie mogę uciekać od jakiejś dozy odpowiedzialności politycznej i etycznej, i to byłoby to założenie „historii jutra”.

E.S., P.W.: Na wykładzie podczas uroczystości nadania tytułu doctor honoris causa UMCS i na spotkaniu z czytelnikami tego samego dnia [22 października 2018 r.] w Teatrze Starym w Lublinie wiele mówił Pan o relacjach pomiędzy historią i pamięcią. Temat ten pojawia się również w *Rozważaniach o wieku XX* – książce napisanej wspólnie z Tonym Judtem. Chcielibyśmy prosić o odpowiedź na pytanie, które zadał Pan prof. Judtowi: czy historia i pamięć są pokrewne, czy są sojusznikami, czy są wrogami? Na wykładzie mówił Pan, że historia daje lekcje, ale sama pamięć już nie. Przyjmijmy, że tak jest, więc pytanie z kolei: jaka historia? Bo jeżeli przykładowo przyjrzymy się historii etnocentrycznej, która w Polsce (i Europie Środkowo-Wschodniej) nadal dominuje, to niekiedy wydaje się ona bliższa konfliktogennej, nacechowanej emocjonalnie pamięci i polityki pamięci, niż, powiedzmy, badaniom w modelu Ranke’owskim, w których chodzi o to, aby ustalić, co się właściwie stało – i to wszystko. Aktualnie mamy konflikt historii/pamięci pomiędzy Polską i Ukrainą, w którym niestety udział bierze też Instytut Pamięci Narodowej, w końcu także placówka naukowa. Jeśli zatem historia etnocentryczna zdaje się pełnić wobec społeczeństwa funkcję pamięci, to jakiej lekcji może nam udzielić? I jeszcze jedna wątpliwość: czy pamięć musi być wrogiem historii? W sensie Assmanowskim historiografia jest też pewną formą pamięci kulturowej; historia świadków zwłaszcza w kontekście historii mówionej jest przecież wykładnią pamięci – indywidualnej i zbiorowej. Czy ze względu na wieloznaczność i wielozakresowość pojęć „pamięć” i „historia” nie powinniśmy ich za każdym razem definiować w kontekście użycia?

T.S.: Musimy określić te słowa, bo moje publiczne stwierdzenia, że jestem wrogiem pamięci, a pamięć jest wrogiem historii, to są pewne uproszczenia.

Ale one służą temu, żeby pokazać, gdzie faktycznie jest różnica, i że rząd albo państwo, które mówi o pamięci, może ma jednak intencję przeciwną intencjom profesjonalnych historyków. To nie jest komfortowa sytuacja dla historyka, jeżeli konwersacja o przeszłości staje się domniemanym dyskursem pamięci – chcę, żeby to było jasne. Ludzie powinni wiedzieć, że historia i pamięć to różne sposoby ustosunkowania się do przeszłości. Jest takie myślenie, że idealnym stanem rzeczy byłaby jedna historia – historia wszystkiego. To jest oczywiście obraz wyidealizowany, bo nie ma takiego historyka, który napisze historię wszystkich ludzi od początku do końca. A jednak ten ideał pomoże nam dostrzec, jaka ma być historiografia; każda książka historyczna jest świadomie nieskończona i powiązana z historiografią już istniejącą, ale też z historiografią jeszcze nieistniejącą. Natomiast pamięć nie ma takiego ideału, nie ma swojego modelu. Jest koniecznie potrzebna do istnienia dziejopisarstwa; każdy dokument powstaje, bo ktoś coś pamiętał i napisał, bez świadectwa pamięci historiografia nie powstanie. Historyk sam musi pamiętać źródła, ustalenia innych historyków, dyskusje z kolegami, więc oczywiście pamięć tak określona jest sprzymierzeńcem historii. Ale pamięć w formie polityki historycznej, nie służy do tego, aby szerzyć wiedzę i stawiać nowe pytania, lecz do tego, ażeby dalej i głębiej ugruntować nasze założenia, że „my” to „my” i „oni” to „oni”. I że to „my” jesteśmy zawsze waleczni i niewinni, a „oni” nie. Pamięć sformułowana pod tym kątem jest wrogiem historii. Historycy bardzo często bywali i są instrumentami takiej polityki, a pokusa zaangażowania w projekt polityczny jest silna, zwłaszcza jeżeli państwo ma instytuty pamięci narodowej dobrze finansowane, a instytuty historii na uniwersytecie marnie finansowane. Ale historycy mogą też funkcjonować gdzieś pomiędzy i to jest to, co opisujecie jako historię narodową albo historię jednonarodową. Tylko że historia narodowa, moim zdaniem, jako taka jest niemożliwa jako nauka. Więcej – jeżeli historia jest narodowa, nie jest historią, tak jak biografia z perspektywy tylko i wyłącznie jednej osoby i jednego życia nie jest żadną biografią. To dotyczy też moich zastrzeżeń do pierwszego pytania. Pytanie jest bardzo dobre, ale chodzi o to, że ja jestem tylko jedną osobą i nie wiem do końca, dlaczego robię tak, jak robię. I nie roszczę sobie pretensji, abym to wiedział. Analogicznie – naród nie wie, dlaczego naród coś robi, ma pewne intuicje, ale często są one fałszywe.

E.S., P.W.: W tym wypadku więc to od historyków-uczonych oczekuje się, że wyjaśnią, a zatem pomogą zrozumieć, dlaczego naród robi to, co robi. Ale jeżeli historyk angażuje się, by tak rzec, w przyszłość, czyli w projekt polityczny, to działa na zasadzie: my mamy wiedzieć, jak to zrobić, żeby ludzie zaczęli myśleć i postępować zgodnie z tym, co przewiduje projekt. Z dbałością o rzetelność badań, o metodę naukową i prawdę historyczną może być wtedy kłopot, a w konsekwencji te podstawowe reguły heurystyczne są po prostu ignorowane.

T.S. Tak.

E.S., P.W.: Panie Profesorze, był Pan związany z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Czy zaliczyłby Pan to muzeum do dyskursu pamięci, czy do dyskursu historii? Czy na przykład kino historyczne włączyłby Pan do dyskursu pamięci, czy historii? Pytamy o to w kontekście

Rozważań o wieku XX i zagadnienia, które rozważaliście z prof. Judtem: Mémorial czy Historial? Chodzi tu oczywiście o społeczne lokalne muzeum dwudziestowiecznych wojen francusko-niemieckich w Caen i to w Péronne, powołane przez międzynarodową komisję zawodowych historyków. Czy da się i czy należy, zwłaszcza w odniesieniu do *public history*, wyznaczyć wyraźną granicę pomiędzy pamięcią a historią?

T.S.: Wcale nie jest jasne, gdzie jest ta granica. Mówimy teraz o pewnych ideałach metodologicznych. Dla mnie istota sprawy polega na tym, czy czekamy na niespodzianki, czy nie. Ten, kto buduje instytucje pamięci czy polityki historycznej, nie chce niespodzianek; ten, który zajmuje się historią, szuka i wynajduje niespodzianki, bo właśnie taka jest przygoda z historiografią. Metodologia też wszystkiego nie jest w stanie przewidzieć ani opisać wszystkich możliwości w badaniach naukowych. Jeżeli więc chodzi o te konkretne przykłady – muzea historyczne bywają różne rzecz jasna. Dla mnie imponujące w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku było to, że ci Polacy, koledzy, którzy je stworzyli, zrobili to na podstawie stanu badań historiografii nie tylko polskiej, ale też niemieckiej, amerykańskiej, rosyjskiej, żydowskiej. Oni mieli taką aspirację, żeby to muzeum było dostępne dla szerokiego dyskursu, dla konfrontacji. W trakcie jego obmyślenia i tworzenia ja byłem poniekąd wewnątrz, jako członek Rady. Razem z kolegami tworzyliśmy tam środowisko międzynarodowe, które w jakimś stopniu weryfikowało czy raczej ukierunkowywało poprzez dyskusje i sugestie pracę na poszczególnych etapach, ale właściwie muzeum było dziełem tej małej grupy Polaków z zespołu prof. Machcewicza. To muzeum pokazało zresztą coś ciekawego, nawet zaskakującego – możliwość takiej polityki historycznej, która kieruje jej odbiorców do prawdziwej historii. Czyli jeżeli jest się na przykład Polakiem w XXI wieku i uważa się, że Europa albo Ameryka nie rozumie naszej historii, co jest prawdą, takie muzeum to najlepszy sposób na to, żeby pokazać tę prawdę na tle znanych wydarzeń, II wojny światowej na przykład. To znaczy też pokazać właściwe proporcje na przykład w tym, że polskie państwo podziemne to była inna jakość, inny wymiar niż ruchy oporu w okupowanej Europie, i że opór polski był też jedynym znaczącym ruchem antykomunistycznym. Ale to jest widoczne tylko na tle innych historii innych państw. Bardzo ważne jest jednocześnie, by pamiętać o tych milionach Polaków, ale i o milionach jeńców sowieckich, którzy zginęli. Wtedy ten Norweg albo Irlandczyk, albo Rosjanin, chodząc po Muzeum, myśli tak: to, co wiem, jest tutaj, wydarzenia i fakty, ale w konfrontacji z innymi faktami pomijanymi w historii nacjocentrycznej, układa się nowe poczucie proporcji. Właśnie dlatego fakt, że Polska była poniekąd w środku tej wojny, jest widoczny dopiero z perspektywy całej wojny. To jest moim zdaniem przykład tego, że historia prawdziwa – naukowa i wielostronna – jest najlepszą polityką historyczną. Inne podejście polega na tym, że to my – naród – będziemy mówić innym o historii, a w rzeczywistości jest to wybieranie z historii faktów najbardziej wygodnych dla obecnych polityków. Otóż to, po pierwsze, nie jest historia, a po drugie, nie przekonuje nikogo. To znaczy przekonuje niektórych Polaków, którzy już są przekonani, ale jeżeli cudzoziemiec przychodzi do alternatywnego Muzeum II Wojny Światowej, gdzie jest tylko o Polakach, którzy jak zawsze byli świetni, masowo ratowali Żydów i wygrali II wojnę światową, to on tego nie przyjmie. Przejaskrawiam to oczywiście, wiedząc, że są narodowe muzea II wojny światowej działające na podobnych zasadach i

właściwie dla odbiorcy wewnętrznego. A Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku miało w swojej koncepcji ofertę wiedzy i dla Polaków, i dla cudzoziemców, i to było unikatowe.

E.S., P.W.: Przykład Muzeum II Wojny Światowej potwierdza to, że politycy traktują historię jak agon – pole walki o pamięć. Zgadza się z tym, że polityka historyczna jest działaniem w państwie i społeczeństwie nieuniknionym, ale zaczyna być problemem dla nauki historii, kiedy polityka staje do „wyścigu w uchwalaniu historii”. W 2015 r. Rada Narodowa Ukrainy uchwaliła cztery ustawy dekomunizacyjne. Wszystkie skierowane były przeciwko Rosji, miały dać mocny komunikat, między innymi zakaz zaprzeczania czy negowania kryminalnej natury totalitarnego ustroju czy reżimu komunistycznego między latami 1917 a 1991. Była w nich też obrona organizacji walczących o niepodległą Ukrainę – Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). To dało asumpt do tego, co później się stało w Polsce, czyli nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej w punktach dotyczących relacji polsko-ukraińskich, która w pewnych sprawach podważała ustalenia akademickiej historiografii. Historyk w sytuacji „uchwalania historii” przez polityków w kampanii politycznej walki o pamięć czuje się chyba bezradny. Bo co możemy robić, żeby być słyszani przez społeczeństwo? Co robić w sytuacji, kiedy na zakłamanie, manipulacje i przysłowiowe „wciskanie kitu” wystarczy jedno zdanie, a na jego zdemaskowanie, sprostowanie i wyjaśnienie trzeba pięćdziesięciu zdań – kto to przyjmie w epoce *leadów* i *postów* internetowych? Obawiamy się, że historia etnocentryczna sprzyja „uchwalaniu historii” przez polityków, a historycy angażują się w argumentację historyczną, co jest stwierdzeniem trywialnym, ale w tym kontekście nabiera specyficznego znaczenia przez nietrywialne konsekwencje. Ironicznie można powiedzieć, że historia wraca do swoich rzymskich korzeni – była w końcu częścią wykształcenia elit politycznych i służyła jako rezerwuuar argumentów w debatach na Forum czy w Senacie. Jednym z nowszych u nas przykładów może być książka Andrzeja Nowaka *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement*, z której wynika, że Polska w swoich dziejach niemal ciągle była ofiarą zdrady sojuszników. Mamy tu do czynienia z narracją historyczną kreującą mit zdrady Polski przez Zachód, który świetnie wpisuje się w politykę historyczną reanimującą mit mesjanistyczny. Taka narracja jest więc użytecznym narzędziem walki politycznej właśnie przez tworzenie mitów historycznych, mających z reguły moc więziotwórczą, których zadaniem jest budowanie ekskluzywnej nacjonalistycznej tożsamości. Rozmawiamy w roku obchodów stulecia niepodległości Polski. Odzyskanie przez Polskę niepodległości jest w nacjocentrycznym dyskursie polityki historycznej przedstawiane w taki sposób, że to głównie wola i moc narodu polskiego, a nie upadek imperiów zaborczych, czyli pewien zbieg okoliczności historycznych, zdecydowały o powrocie Polski na mapę Europy. W polskiej optyce kluczowe jest słowo „odzyskanie”. Zauważmy przy tym, że spadkobiercami pierwszej odzyskanej, nazwijmy to tak, Rzeczypospolitej, były jeszcze trzy państwa, poza Polską – Ukraina, Białoruś i Litwa. Przez nacjocentryczną politykę historyczną to jest wiedza słabo obecna w świadomości polskiego społeczeństwa.

T.S.: Jeżeli chodzi o I wojnę światową, to jest piękny przykład tego, jak wielka jest polska historia, ale nie w tym sensie, to znaczy romantycznym. Jest wielka w tym sensie, że odsłania główne tendencje historyczne. Moim zdaniem główny nurt historii Europy XX wieku to koniec imperializmu i proces integracji, który trwa przez cały wiek, od I wojny światowej do końca komunizmu. I można, zaczynając od Polski, ten proces bardzo dobrze opisywać, pokazując, że Polska jest tu kluczowym przykładem. W takim ujęciu Polska należy do Europy, należy do świata, i to wszystko jest spójne. Natomiast jeżeli się to ujmuje w kategoriach polskiej woli i sprawczości, wtedy to już nie jest historia, tylko symbolika. To, co Polacy robili, jest ważne, jeżeli chodzi o to, gdzie są granice, jaka była konstytucja itd. Ale ten ogólny proces może być nawet pełniej zobaczony przez pryzmat historii Polski, lecz tylko pod warunkiem, że sami Polacy zobaczą Polskę w tym procesie i przyjmą to jako swoją historię. To jest zadanie dla historyków. Jeżeli chodzi o II wojnę światową i o UPA, wreszcie kwestię IPN, to, mówiąc ogólnie, historyk może coś zrobić, analizując metodycznie to, co robią państwa. Mam bardzo mądrego kolegę Nikołaja Kuposowa, który właśnie opublikował książkę o tych ustawach ukraińskich, co w nich właściwie jest, w jakim kontekście powstały, pod jakimi warunkami. To jest bardzo ciekawe, bo ilustruje w zasadzie proces wszechuropejski, nie tylko wschodnioeuropejski, więc wy możecie na to patrzeć trochę ogólniej, z szerszej perspektywy. A jak ja na to patrzę? Z mojej perspektywy problem dla Polaków i dla Ukraińców polega na tym, że to Rosja określa tu reguły gry. Ukraińcy i Polacy grają w rosyjskiej grze pamięci, w której reguły są takie: my jesteśmy zawsze niewinni, a od czasu do czasu jesteśmy wielcy. Jeżeli więc takie są reguły gry, to Rosja wygrywa. I wygrywa cały czas, bo, po pierwsze, narracja II wojny światowej raczej pomaga Rosjanom, a po drugie, Rosja ma mechanizmy i technologie, których Ukraina i nawet Polska nie ma. Mam tu na myśli nie tylko telewizję i internet, ale też pewne automatyzmy i bezwzględność w sposobie myślenia, co przekłada się na skuteczność propagandy i polityki historycznej. Rosjanie są w tym po prostu lepsi niż Polacy, bo są kategoryczni, ultymatywni. Polska, licząc się z pewnymi względnościami, wnikającymi także z bieżącej koniunktury politycznej, jest gdzieś pośrodku. I to jest niewygodne położenie, bo polscy politycy kłamią o historii świadomie, ale nie kategorycznie. Nie bezlitośnie, nie w taki sposób, żeby przekonać innych; żaden polski polityk właściwie nikogo poza Polską, jeżeli chodzi o historię, nie przekonuje. Rosjanie dość często przekonują, bo są w tym kłamaniu bezwzględni i systematyczni. Można nie lubić obecnej polskiej polityki historycznej, ja osobiście jej nie lubię. Ale ona nie jest taka kategoryczna i wykalkulowana jak w Rosji, co oznacza, że w konkurencji regionalnej Polacy cały czas przegrywają. W tym konkretnym przykładzie – relacji polsko-ukraińskich – polscy politycy obecnej zmiany uważają, że posiadają mocne punkty przeciwko Ukraińcom, ale faktycznie to są punkty dla Rosji, nie dla Polaków, bo Rosja ustala tu reguły gry w konfliktogenne dzielenie Europy, a Polacy grają według tych reguł. Ukraińcy też. I Rosjanie ciągle wygrywają, element ich kalkulacji jest właśnie w tym, że nie chwalą się cały czas, nie gadają cały czas o tym, że ich polityka pamięci jest właściwa i skuteczna, po prostu pokonują was w kolejnych rozgrywkach polityki pamięci w regionie. I właściwie wszystko, co się stało w polskiej polityce pamięci i polityce historycznej w ciągu ostatnich dwóch lat, to jest ciągła i świadoma wygrana Rosji. Moja ogólna konkluzja jest więc taka, że jeżeli państwo chce mieć solidną politykę historyczną, nie może

przyjmować cudzych reguł gry, w tym wypadku rosyjskich. A żeby Polska przekonała innych co do swojego położenia właśnie pomiędzy i związanych z tym konsekwencji, trzeba tu większej finezji niż taktyka: kłamiemy, ale nie do końca; mówimy prawdę, ale jakby złagodzoną i niepewną. Można jednak mieć politykę historyczną, która polega na zasadzie: prawda jest po naszej stronie. I mnie się wydaje, że właśnie Polska miałaby tu ogromną przewagę, gdyby wybrała taką strategię. Ale Polska wciąż sytuje się jakby pośrodku, a „pośrodku” to jest ciągle przegrywanie. Przecież w waszym kraju są w polityce ludzie o umysłach bardziej wyrafinowanych i są pieniądze wystarczające do tego, ażeby budować aktywną strategię polityczną. Polegałaby ona na tym, że rozszerza się zasięg polskiego języka i przekazu zwłaszcza w udostępnianiu polskich źródeł, otwarciu na debatę międzynarodową i wreszcie uznaniu, że jak każdy naród także Polacy mają ciemne strony historii, ale im więcej się wie, tym lepiej dla samego narodu, a im mniej się ukrywa, tym mniej jest się podejrzanym i nieprzekonującym. Takim sposobem Polska budowałaby dla siebie profil, który jest inny od rosyjskiego. Ale teraz świat na was patrzy przez pryzmat rosyjskiej polityki pamięci w regionie i w konsekwencji nie widzi specjalnej różnicy. Innymi słowy, patrzy na was tak jak na Rosjan. I wracając do tej „zdrady Zachodu”, to jest bardzo ważne, bo mnie się wydaje, iż tu jest jakby półświadoma wiedza, że wybraliście złą strategię polityczną. Tak naprawdę chcecie przegrać, bo jak Polska przegrywa, to przez ten pryzmat będzie znowu jasne, że to jest wina Zachodu, który z zasady Polaków nie rozumie. Może nie mam racji, ale wydaje mi się, że właśnie w tym motywie „zdrady” jest wybór biernej strategii w polityce historycznej, która odbija się w półświadomej chyba woli, zwłaszcza waszych polityków obecnej formacji rządzącej, żeby Zachód was nie rozumiał. To jest postawa dla tych polityków wygodna, bo ma w sobie potencjał jednoczący – oto potwierdza się „odwieczna” zdrada Zachodu, i że my jesteśmy tacy fajni, a oni nas nie rozumieją.

E.S., P.W.: A czy to nie jest mit mesjanistyczny w obecnej odsłonie?

T.S.: Tak. To jest upieranie się przy tym, że Polska jest inna i z tego powodu nierozumiana. Tylko że praktycznie to jest wmawianie determinizmu klęski, właściwie paradoksalna walka o klęskę. W tym świetle polityka historyczna jest udana, jeżeli przyniesie klęskę, czyli jest nieudana na forum międzynarodowym, bo wtedy można powiedzieć: „oni nas nie rozumieją”.

E.S., P.W.: Czyli to utwierdza nas w wyjątkowości: jak ponosimy klęski, cierpimy, to oznacza, że jesteśmy wyjątkowi, zgodnie z romantycznym mitem Chrystusa narodów.

T.S.: To jest takie koło logiczne.

E.S., P.W.: I że Oni – Zachód – nas nie rozumieją. Ale to samo mówią Rosjanie.

T.S.: Tak. Jeśli więc jesteście już w tym położeniu, to zauważcie, że to są cały czas reguły rosyjskie. Tyle że z tego stanowiska Rosja jest w stanie coś zrobić, na przykład napaść na Ukrainę bez realnie dotkliwych konsekwencji. Jak Rosjanie mówią: „oni nas nie rozumieją”, to przynajmniej buduje to w miarę koherentny autorytaryzm. Jak wy mówicie: „oni nas nie rozumieją”, to po prostu znaczy, że macie bardzo słabe miejsce w Unii Europejskiej i nic

więcej.

E.S., P.W.: W książce *Memory and Law* Lynna Nadela i Waltera Sinnotta-Armstronga pojawia się kwestia „umoralniania historii” w odniesieniu do przydawania sobie wyższości moralnej z powodu historycznych krzywd i żądania kompensacji, przynajmniej symbolicznej. U nas polega to zwłaszcza na traktowaniu klęsk jako moralnych zwycięstw i roszczeniach typu: „to my, Polacy, uczyliśmy Europę demokracji”, „to my mieliśmy konfederację warszawską ćwierć wieku wcześniej niż edykt nantejski” ergo państwo wolności i tolerancji, „wy nas zdradziliście, dlatego nie macie nas prawa pouczać” itd. Spektakularnym przejawem takiej postawy, wynikającej przecież z głęboko zakorzenionych kompleksów, jest stwierdzenie byłego wiceministra obrony narodowej Bartosza Kownackiego, że to „my Francuzów uczyliśmy jeść widelcem”; społeczeństwo po części przyjmuje z ochotą tego typu enuncjacje. Jednocześnie w Polsce środowisko historyków jest wyraźnie podzielone, więc też nie możemy ciągle za zaistniałą sytuację obwiniać tylko polityków.

T.S.: Na to nie mamy żadnej uniwersalnej recepty, ale mamy swój pogląd. Jeżeli historyk zdecyduje się być czarownikiem pamięci, to neguje przyszłość własnego kraju. Historyk zawsze uważa, że przeszłość otwiera pewne możliwości, które realizują się w teraźniejszości. Bardzo charakterystyczne dla tych czarowników pamięci jest domniemane dążenie do tego, żeby tutaj, w teraźniejszości, nie ustawał spór Polaków z Polakami, Polaków z Europejczykami. Ale w tym ciągłym sporze zapominamy, że historia jest nurtem idącym w kierunku przyszłości i że Polska ma mieć przyszłość. A oni właśnie chcą Polaków utwierdzać w przekonaniu, że specyfiką polskości są krwawe klęski i zwycięstwa moralne; że polityka jest udana, kiedy pamięć historyczną przepełnia pamięć niezawinionych klęsk, bo wtedy można zamknąć się w tym kole: „oni nas nie rozumieją” i dlatego „nasza polityka zagraniczna jest taka słaba, bo nas nie rozumieją”, dlatego „nie jesteśmy w stanie nic wynegocjować, bo oni nas nie rozumieją”. Tak wygląda polityka, która nie radząc sobie z obecnymi realiami, od razu sięga do zmitologizowanej przeszłości. Budując taką Polskę, której nikt nie zrozumie, przygotowuje drogę do przyszłych klęsk w polityce zagranicznej, a historia Polski zaczyna być ignorowana.

E.S., P.W.: Zbliżamy się do końca naszej rozmowy, w związku z tym ostatnie pytanie. Panie Profesorze, chcielibyśmy nawiązać do koncepcji historii progresywnej Haydena White’a, która, zacytujmy, „rodzi się z troski o przyszłość – przyszłość rodziny, przyszłość kraju, gatunku ludzkiego, ziemi i przyrody; historię, która sięga do przeszłości w poszukiwaniu intelektualnych, emocjonalnych i duchowych zasobów, które mogłyby pomóc poradzić sobie z tymi troskami”. Konkluzja jest przynajmniej zastanawiająca: „badamy przeszłość nie po to, by dowiedzieć się, co naprawdę się zdarzyło, czy by uprawomocnić teraźniejszość, ale by dowiedzieć się, co to znaczy stanąć w obliczu przeszłości, którą chcielibyśmy odziedziczyć, a nie takiej, którą zostaliśmy obciążeni”*. Nasuwa się tu pytanie, czy historiografia może stworzyć takie społeczne imaginarium, które pozwalałoby na budowanie

pozytywnych wizji przyszłości, pozytywnej historii jutra? I znów nawiążemy do kwestii, którą postawił Pan w rozmowie z Tonym Judtem: czy jest jakiś praktyczny sposób wypracowania historii, tak aby przyczyniał się do tworzenia wspólnot obywatelskich w społeczeństwie otwartym (w sensie Popperowskim)?

T.S.: Dla mnie to jest i za dużo, i za mało, bo mnie się wydaje, że jeżeli jest taki program od początku, to nie będzie historia, bo historia sama w sobie jest działalnością wolną i nie wiadomo, dokąd to badacza doprowadzi. I właśnie to „nie wiadomo, dokąd to prowadzi” jest ważniejsze niż pozytywne cele. Chociaż te cele są już w metodzie, w założeniach metodologicznych, ale nie w skutkach. Kiedy pracuję nad książką o II wojnie światowej albo o latach 30. i 40. i piszę, jak umarło 14 milionów ludzi, wcale nie wykluczam, że to nam pomaga w budowaniu przyszłości. Ale to nie był mój cel. Gdybym myślał, jak mam używać tego doświadczenia, to bym pisał zupełnie inne książki. Mnie się wydaje, że historia sama nam pomoże w budowaniu społeczeństwa otwartego, niezależnie od tego, jakie są książki, chodzi o to, żeby były historyczne, to już jest bardzo dużo.

E.S., P.W.: Ale zgodzimy się z tym, że nauka historii powinna być też ćwiczeniem myślenia strategicznego i pragmatycznej wyobraźni, która pozwala na przewidywanie konsekwencji działań – a to też dużo, zwłaszcza w odniesieniu do polityków.

T.S.: Nauka historii zawsze coś tworzy dla społeczeństwa i w społecznych kontekstach, dlatego w oczach społeczeństwa nie jesteśmy po prostu podzieleni na protagonistów zmiany zapatrzonych w przyszłość i tych, którzy siedzą cicho w swoich wąskich specjalizacjach. Na historyków patrzy się też jak na tych, którzy robią coś pożytecznego dla społeczeństwa. Ale nie przez to, że zawsze mają rację, tylko przez to, że uprawiają ten jeden z niewielu zawodów humanistyki, które razem ze sztuką i dziennikarstwem, choć są pod wieloraką presją, zwłaszcza polityczną, pokazują, na czym polega potrzeba nauk humanistycznych w społeczeństwie. Ale to już odrębny, choć dzisiaj istotny temat.

E.S., P.W.: Dziękujemy za rozmowę.

Przypisy

* Cytat za: Ewa Domańska, *Historiografia wyzwolenia*, w: Hayden White, *Przeszłość praktyczna*, tłum. zbiorowe, red. Ewa Domańska, Universitas, Kraków 2014, s. 279.

Bibliografia prac Timothy'ego Snydera przywoływanych w wywiadzie

Black Earth: The Holocaust as history and warning, Tim Duggan Books, New York 2015 (wyd. pol. *Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2015).

Bloodlands: Europe between Hitler and Stalin, Basic Books, New York 2010 (wyd. pol. *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2011).

Nationalism, Marxism, and Modern Central Europe: A biography of Kazimierz Kelles-Krauz, 1872–1905, Harvard University Press, Cambridge, MA 1997 (wyd. pol. *Nacjonalizm, marksizm i nowoczesna Europa Środkowa. Biografia Kazimierza Kelles-Krauza*, tłum. Marta Boguta, Krytyka Polityczna, Warszawa 2011).

On Tyranny: Twenty lessons from the twentieth century, Tim Duggan Books, New York 2017 (wyd. pol. *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2017).

The Reconstruction of Nations: Poland, Ukraine, Lithuania, Belarus, 1569–1999, Yale University Press, New Haven 2003 (wyd. pol. *Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999*, tłum. Magda Pietrzak-Merta, Pogranicze, Sejny 2009).

The Red Prince: The secret lives of a Habsburg archduke, Basic Books, New York 2008 (wyd. pol. *Czerwony Książę*, tłum. Maciej Antosiewicz, Świat Książki, Warszawa 2010).

The Road to Unfreedom: Russia, Europe, America, Tim Duggan Books, New York 2018 (wyd. pol. *Droga do niewolności. Rosja, Europa, Ameryka*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2019).

Sketches from a Secret War: a Polish artist's mission to liberate Soviet Ukraine, Yale University Press, New Haven 2005 (wyd. pol. *Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2008).

Judt Tony, Snyder Timothy, *Thinking the Twentieth Century*, Penguin Press, New York 2012 (wyd. pol. *Rozważania o wieku XX*, tłum. Paweł Marczewski, Rebis, Poznań 2013).

Deskrypcja wywiadu: Michał Bednarczyk
Redakcja tekstu: Ewa Solska i Piotr Witek
Korekta językowa: Beata Bińko

[Historia, misja i likwidacja Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej. Rozmowa z dyrektorem prof. Mirosławem](#)

Filipowiczem

Realizacja wideo: Piotr Witek



Zapraszamy Państwa do obejrzenia i wysłuchania wywiadu z dyrektorem Instytutu Europy Środkowo Wschodniej w Lublinie prof. Mirosławem Filipowiczem na temat historii i misji Instytutu oraz jego likwidacji przez obecne władze. Rozmowę przeprowadził w siedzibie IEŚW przy ul. Niecałej 5 w Lublinie, 08.12.2018r. prof. Sławomir Łukasiewicz. Na zakończenie wywiadu prof. Mirosław Filipowicz oprowadził kamerę po budynku Instytutu.

* Przepraszamy za nienajlepszą momentami jakość dźwięku. Podczas nagrania awarii uległ sprzęt rejestrujący.

Rozmowy o historii. Zwiastun wywiadu z prof. Timothy Snyderem

Rozmowy o historii

Zwiastun wywiadu z prof. Timothy Snyderem przeprowadzonego 23-10-2018 r . w Lublinie przez dr Ewę Sołską i dra hab. Piotra

Witka.

[Pełny tekst wywiadu został opublikowany na portalu ohistorie.eu](#)

Timothy Snyder, profesor Yale University, specjalista w zakresie współczesnych dziejów Europy Środkowej i Wschodniej oraz historii nowożytnego nacjonalizmu.

22 października 2018 roku Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie nadał prof. Timothy Snyderowi tytuł doctora honoris causa.

Promotorem doktoratu był prof. Jan Pomorski.

[Wywiad dr Małgorzaty Chomy-Jusińskiej z prof. Andrzejem FRISZKE](#)



profesor Andrzej Friszke

KARTA WOLNYCH POLAKÓW

0 strajku w Stoczni Gdańskiej i Porozumieniach Sierpniowych z prof. Andrzejem FRISZKE rozmawia Małgorzata CHOMA-JUSIŃSKA

7 sierpnia 1980 r. dyrekcja Stoczni Gdańskiej im. Lenina zwolniła wieloletnią, szanowaną pracownicę Annę Walentynowicz. Była to już kolejna osoba związana z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża szykanowana w miejscu pracy. Atmosfera w stoczni była napięta, m.in. pod wpływem trwających od kilku tygodni strajków robotniczych w innych rejonach kraju. Sprawa Walentynowicz przyspieszyła wybuch protestu wśród stoczniowców. Bogdan Borusewicz, członek KSS „KOR” i współpracownik WZZ, przygotował na 14 sierpnia strajk w obronie zwolnionej. Na czele protestu mieli stanąć młodzi stoczniowcy, współpracownicy WZZ: Jerzy Borowczak, Ludwik Prądyński i Bogdan Felski, oraz zwolniony ze stoczni w 1976 r. Lech Wałęsa. Około godziny 6 rano pracownicy pierwszej zmiany w wydziałach K-1 i K-3 Stoczni Gdańskiej rozpoczęli strajk. Początkowo protestujący zgłosili trzy postulaty: przywrócenie do pracy Anny Walentynowicz, podwyżka w wysokości 2000 zł i dodatek drożyzniowy.

Poniżej prezentujemy wywiad z prof. Andrzejem Friszke, historykiem, autorem licznych publikacji dotyczących powojennej historii Polaków, m.in. *Życie polityczne emigracji* (1999), *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010), *Rewolucja Solidarności 1980–1981* (2014), *Między wojną a więzieniem 1945–1953. Młoda inteligencja katolicka* (2015), *Sprawa jedenastu. Uwięzienie przywódców NSZZ „Solidarność” i KSS „KOR” 1981–1984* (2017).

M. Ch.-J.: *Rozmawiamy w przeddzień rocznicy wybuchu strajku w Stoczni Gdańskiej 14 sierpnia 1980 r., który rozpoczął proces narodzin ruchu „Solidarności”. Czy strajk ten od początku miał charakter protestu politycznego? Czy dopiero ewolucja, którą przechodził 16 sierpnia, pozwala go tak określić?*

A. F.: Jeżeli strajk wybuchł o przywrócenie do pracy usuniętej pracownicy – mówimy o Annie Walentynowicz – a wiadomo, że usunięto ją za działania opozycyjne, jeżeli bardzo szybko pojawia się problem wzniesienia pomnika poległych w 1970 r. stoczniowców, jeżeli sformułowany jest też postulat utworzenia Wolnych Związków Zawodowych, na razie w Stoczni Gdańskiej, są to wszystkie postulaty polityczne. I one wyraźnie wykraczały poza horyzont strajków, które dotychczas miały miejsce. Moim zdaniem można więc powiedzieć, że strajk w Stoczni Gdańskiej od początku był polityczny. Jego przygotowanie miało charakter organizacyjno-polityczny. Strajk nie wybuchł spontanicznie, ale był zaplanowany z podziałem zadań dla poszczególnych osób: dla tych młodych trzech robotników, Borowczaka, Prądyńskiego i Felskiego, którzy przynoszą plakaty i 14 sierpnia inicjują strajk. Określoną rolę do odegrania ma Wałęsa, który pojawia się w stoczni w odpowiednim momencie. Myślę więc, że od początku jest to strajk polityczny, choć oczywiście miał wyraźne postulaty ekonomiczne.

M. Ch.-J.: *Cofnijmy się w czasie. 1 lipca wprowadzona została podwyżka cen mięsa i wędlin. Przez kilka tygodni przed strajkiem w Stoczni w wielu zakładach pracy w kraju wybuchaly protesty, najbardziej intensywne na*

Lubelszczyźnie. Co je różniło od strajku stoczniowego? Dlaczego wówczas niezadowolenie z podwyżek cen mięsa i wędlin – przecież dające o sobie znać w całym kraju – nie przerodziło się w ogólnopolski protest? Czy robotnicy jeszcze nie dojrzeli do formułowania tak daleko idących postulatów pozaekonomicznych jak miesiąc później w Gdańsku? Czy zabrakło wsparcia ze środowisk nierobotniczych?

A. F.: Myślę, że istotne było wszystko, co Pani powiedziała. Na pewno strajki lipcowe – łącznie z tym dużym strajkiem lubelskim – były, po pierwsze, spontaniczne, to znaczy wybuchały bez uprzedniego przygotowania programowego, personalnego. Po drugie, na Lubelszczyźnie nie było aktywnych, dobrze zorganizowanych środowisk opozycyjnych, jakie były w Gdańsku. Oddolne ruchy mają swoją dynamikę. Strajki lipcowe się powiodły – władza nie zastosowała siły, poszła na ustępstwa – i to poszerzało zakres odwagi i wyobraźni robotników w innych ośrodkach kraju. Można było więcej żądać, można było sobie wyobrazić, że w zasięgu są dalsze możliwości. Myślę, że to były elementy decydujące: z jednej strony strajki lipcowe przygotowały klimat do szerokiego sprzeciwu, a z drugiej ważne było istnienie w Gdańsku grupy ludzi doświadczonych – działaczy i sympatyków WZZ – którzy już wcześniej organizowali protesty, przeszli przez konflikty z milicją, byli zdecydowani na to, by podjąć ryzyko protestu. Nie była to duża grupa, tworzyło ją kilkanaście osób. Ale proces kształtowania w ich otoczeniu grupowej świadomości interesów zawodowych i społecznych trwał już wcześniej. Prócz istnienia WZZ i systematycznego kolportażu podziemnego „Robotnika” ogromne znaczenie miały manifestacje w rocznicę Grudnia '70 pod bramą stoczni, które odbywały się od 1977 r. W grudniu 1979 r. uczestniczyło już parę tysięcy robotników, wtedy też przemówił Wałęsa, znakomicie zresztą. O tej manifestacji pisała prasa opozycyjna, także w Warszawie, została ona zauważona również przez MSW jako ważne wydarzenie. Była to zatem zupełnie inna sytuacja niż przywódców czy inicjatorów strajków lipcowych, którzy wcześniej podobnych doświadczeń nie mieli. To właśnie bardzo odróżniało strajk w Gdańsku od strajków lipcowych.

M. Ch.-J.: *Ta niewielka grupa skupiona wokół WZZ niewiele zdziałałaby wśród pracowników Stoczni Gdańskiej, gdyby nie atmosfera w przedsiębiorstwie, gdyby nie poczucie, że protest jest niezbędny i z powodów ekonomicznych, i ze względu na znaczenie formułowanych przez nich postulatów politycznych.*

A. F.: Dokładnie. Istotne było, że szeroka grupa ludzi wiedziała o strajkach w lipcu, to trudno było ukryć. Wolna Europa o tym mówiła. Wiadomo było, że ten ruch idzie, i w związku z tym ludzie wcześniej mniej zdeterminowani w sierpniu byli gotowi na to, żeby podjąć ryzyko protestu.

M. Ch.-J.: *Także strajkujący w Stoczni Gdańskiej przeszli swego rodzaju ewolucję. Protest miał moment zwrotny 16 sierpnia. Zaistniały dodatkowe okoliczności, które sprawiły, że strajk nabrał faktycznie charakteru solidarnościowego. Tego dnia w Gdańsku strajkowało ponad 80 tys. osób.*

A. F.: Każda wygrana rodzi apetyt na więcej. A strajk trwający od 14 do 16 sierpnia był wygrany. Prowadzący negocjacje z dyrekcją Wałęsa okazał się zresztą świetnym, twardym, konsekwentnym negocjatorem. Uzyskano właściwie wszystko, o co się upominano. Dotyczyło to i spraw finansowych, i wszystkich

spraw politycznych. Także inne zakłady, które przystępowały do strajku 15, 16 sierpnia, nie chciały zostać z boku. Dlatego przyłączały się do tego ruchu w nadziei, że razem uda się to pociągnąć. Jak wiadomo, strajk w Stoczni Gdańskiej został zakończony 16 sierpnia. O okolicznościach tego zakończenia czytałem ostatnio w „Polityce” artykuł Tomasza Kozłowskiego Pierwszy dzień rewolucji, który bardzo dobrze opisuje ówczesną dynamikę wydarzeń. Jedno jest pewne – 16 sierpnia strajk został wygrany, to znaczy wszystkie postulaty, które strajkujący w stoczni zgłaszali, zostały przyjęte przez dyrekcję. Komitety strajkowe wyłonione na poszczególnych wydziałach już nie były zdominowane przez opozycję, znaleźli się w nich, jak napisał Kozłowski, ludzie dyrekcji. A jeżeli nawet nie byli to ludzie dyrekcji, to byli politycznie niezaangażowani. I kiedy władze stoczni zgodziły się na wszystkie postulaty, to w sposób naturalny Komitet Strajkowy uznał ten strajk za zakończony. Natomiast istniał problem z pozostałymi zakładami Gdańska, które rozpoczęły strajki i na razie nie odniosły żadnego sukcesu. Tak powstała potrzeba, podjęta przez te świadome grupy polityczne, żeby strajku jednak nie zawiesić, nie kończyć, ale kontynuować w interesie także pozostałych zakładów pracy i rozszerzyć listę postulatów. To był moment przełomowy. Jak się potem okaże, ten 16 sierpnia otwiera epokę prowadzącą do zasadniczych zmian w Polsce.

M. Ch.-J.: *Tym, co wyróżnia strajk w Stoczni Gdańskiej, w mniejszym stopniu także inne sierpniowe strajki na Wybrzeżu, jest to, że ich uczestnicy nie byli sami. Mieli świadomość poparcia społecznego. Są działacze opozycji, którzy w stoczni dosłownie organizują czy współorganizują protest. Wyrazy poparcia płyną z różnych środowisk opozycji w kraju. Intelktualiści ogłaszają list w wyrazami poparcia i apel o kompromis, potem jako eksperci są w stoczni i wspierają Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w negocjacjach z władzami. Są aktorzy Teatru Wybrzeże, duchowni z posługą religijną. Są wreszcie korespondenci mediów zachodnich, którzy od lipca żywo interesują się wydarzeniami w Polsce. Wszystko to stwarza wyjątkową sytuację, działającą na korzyść strajkujących.*

A. F.: Oczywiście. I jeszcze trzeba dopowiedzieć, że te wszystkie gesty wsparcia, obecność opozycji i dziennikarzy powoduje, że wiedza o tym, co się dzieje w Stoczni Gdańskiej, jest rozpowszechniana natychmiast za granicę i ona wraca właściwie tego samego dnia, w audycjach Radia Wolna Europa czy radia BBC, i właściwie cała Polska słyszy, co się rozgrywa na Wybrzeżu, może śledzić dzień po dniu walkę robotników. To oczywiście powoduje ogromny przyrost solidarności z nimi w całej Polsce, a także za granicą, w postaci różnych komentarzy medialnych. I stymuluje ruch strajkowy w innych ośrodkach. Bez tego prawdopodobnie strajk sierpniowy nie miałby takiego zasięgu. Przypomnę, pod koniec sierpnia strajkowało około 700 tys. ludzi w siedmiuset zakładach, to jest więc największy strajk w historii ziem polskich. Nigdy nie doszło do takiego wielkiego strajku jednocześnie. Było to wydarzenie zupełnie niezwykle, i z tego ruchu zrodzi się „Solidarność”.

M. Ch.-J.: *Jaką rolę odegrała w narodzinach „Solidarności” inteligencka opozycja?*

A. F.: Te grupy inteligenckie miały fundamentalne znaczenie. Po pierwsze, grupy, które przygotowywały ten ruch, kształtowały wyobraźnię polityczną,

uczyły, jak strajkować. Myślę przede wszystkim o grupie „Robotnika” i oczywiście WZZ-ach na Wybrzeżu. To były grupy inicjatywne ruchu strajkowego. Następnie ci, którzy ten strajk bezpośrednio wspierali, czyli powielali ulotki, przygotowywali propagandę „na mieście”, obsługiwali powielacze, członkowie Komitetu Obrony Robotników i Ruchu Młodej Polski z Gdańska. Trzeba zauważyć też warszawskie centrum zbierania informacji o strajkach i przekazywania wiadomości na Zachód, by wiadomości wróciły przez Radio Wolna Europa. Taką grupę stworzył i koordynował Jacek Kuroń, po jego i innych aresztowaniu przejęli to następni.

A druga grupa, która się pojawi parę dni później, to są wspomniani przez Panią doradcy, którzy przyjechali z intencją, żeby nie tylko wesprzeć moralnie ruch strajkowy, ale również by pośredniczyć czy doradzać w trakcie negocjacji z władzami, kiedy one się zaczną. I to jest ogromnie ważna rola, o której nie powinniśmy zapominać, bo ona powodowała, że te negocjacje w pewnym momencie mogły nabierać kształtu precyzyjnych ustaleń i precyzyjnie zapisanych porozumień.

M. Ch.-J.: *Członkowie MKS mieli świadomość oczekiwań środowisk pracowniczych, ale profesjonalne doradztwo z zakresu ekonomii czy prawa, pewne doświadczenie w rozmowach z władzami różnych szczebli były niezbędne do formułowania postulatów i prowadzenia negocjacji.*

A. F.: Tak. Postulaty, które Wałęsa negocjował w pierwszych dniach strajku, co wiemy z opublikowanych stenogramów, dotyczyły wycinkowych spraw, ale gdy wchodziła w grę sprawa nowych związków zawodowych w stoczni, to oczywiście powstawało mnóstwo pytań i wątpliwości, jak to potem miałoby wyglądać w praktyce. Otóż kiedy negocjowano już postulaty MKS, to oczywiście negocjacje musiały obejmować wiedzę o ogólnym stanie prawnym, czy to ustaw dotyczących związków zawodowych, czy funkcjonowania przedsiębiorstwa, czy polityki społecznej i różnych zobowiązań, i udziału w tych zobowiązaniach związków zawodowych, czy kwestii konwencji międzynarodowych podpisanych przez PRL, na co można się było powoływać w negocjacjach. Tu była potrzebna rzeczywiście duża wiedza ekonomiczno-społeczno-prawnicza. A poza tym sporo umiejętności, które są w takich rozmowach ważne, czyli na przykład zdolność precyzyjnego używania pojęć, słów, żeby potem nie było wątpliwości, co to właściwie znaczy. Chodziło o ścisłość zapisów. I oczywiście rola ekspertów była zupełnie fundamentalna, bez nich te zapisy nie mogłyby być tak precyzyjne, co pozwalało później powoływać się na Porozumienia Sierpniowe czy przy powstawaniu „Solidarności”, czy przy dalszych konfliktach z władzami, przy rozstrzyganiu różnych kwestii związanych z działaniem „Solidarności”, jak uprawnienia do posiadania własnej prasy związkowej i ośrodków doradczych, a także w takich sprawach jak negocjowanie nowej ustawy o związkach zawodowych. Wszystko to jest zapisane w tym porozumieniu z 31 sierpnia. Robotnicy nie mogli być tak precyzyjni, tak przewidujący, żeby mieć w horyzoncie wyobrażeń wszystko to, co należy uwzględnić w treści porozumień. Negocjatorzy rządowi dążyli do tego, żeby pewne pojęcia rozwodnić, pozostawić furtki. Pokazuje to dobrze przykład Kazimierza Barcikowskiego i jego zespołu ze Szczecina, którzy negocjowali kwestię powołania związków zawodowych. Nie bez przyczyny się podkreśla, że kłopotliwe potem dla „Solidarności” zapisy porozumienia szczecińskiego powstały dlatego, że w Szczecinie strajkujący nie mieli dobrych doradców. W efekcie na mocy zawartego 30 sierpnia uzgodnienia

powołano tam Komisję Porozumiewawczą. Pozornie dobrze jest, jeśli istnieje tak komisja, ale ze względu na mieszany skład dawała ona stronie rządowej, przynajmniej potencjalnie, dużo większe możliwości ingerowania w pewne poczynania przyszłych związków, niż według ustaleń z Gdańska. Ta komisja wkrótce potem przestała się zbierać, ale ze strony władz to było jedno z takich posunięć, by pewnych rzeczy nie doprecyzować, by pozostawić na później do dalszych uzgodnień, albo też wprowadzić takie zabezpieczenia, które dawałyby partii możliwość wywierania wpływu na związek. Zatem rola ekspertów, którzy mogli takie pułapki dostrzec, uprzedzić, znaleźć inne rozwiązania, była szalenie ważna.

M. Ch.-J.: *Funkcjonuje pewien stereotyp odnoszący się do pracy Komisji Ekspertów, a także szerzej do relacji inteligencji i robotników w ruchach kontestacyjnych, w ramach którego przedstawiciele inteligencji mają skłonność do hamowania radykalizmu robotników. Czy postawy przedstawicieli obydwu grup w czasie strajku potwierdzają takie postrzeganie ich wzajemnych relacji?*

A. F.: Może nawet to prawda. Zależy od tego, co rozumiemy pod pojęciem radykalizmu. Oczywiście oni – Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Andrzej Wielowieyski, Bohdan Cywiński, Tadeusz Kowalik, Waldemar Kuczyński – jechali do stoczni z obawą, że to wszystko może się skończyć katastrofą. Czyli że załamią się rozmowy albo w ogóle rozmów nie będzie, że skończy się zduszeniem siłą tego ruchu, może płać się krew, jak 10 lat wcześniej. To było całkiem możliwe. Ich wyjazd do Gdańska był motywowany przekonaniem, że nie wolno dopuścić do takiego scenariusza. W związku z tym ten ruch powinien być przewidywalny, a jego postulaty odważne, ale realne i tak sformułowane, by istniała szansa na zawarcie kompromisu. Taki był – znałem tych ludzi – sposób ich myślenia. Z taką intencją jechali do Gdańska. Gdy przyjechali do Gdańska i poczuli tę atmosferę ruchu robotniczego, zobaczyli dojrzałość, determinację, twardość żądań, to niewątpliwie się zradykalizowali, uznali, że nie mogą powiedzieć, iż całkowicie nowe związki są nierealne, muszą starać się osiągnąć to, czego robotnicy pragną. Przyjęli postawę służebną w tym sensie, że ten ruch chcą reprezentować i pragną, by to, czego ci ludzie żądają w 21 postulatach, zostało zrealizowane. Zarazem jednak są też granice możliwości systemu politycznego PRL. Trzeba było dobrze zdiagnozować sytuację, jak daleko władza może się cofnąć, by nie sprowokować sytuacji, że w swojej świadomości poczuje się zapędzona do takiego miejsca, iż uzna, że nie ma już miejsca na kompromis i trzeba to wszystko twardo zdławić. W gruncie rzeczy doradcy MKS w czasie negocjacji poruszali się w istniejących warunkach tak, by uzyskać dla strajkujących maksimum, ale w taki sposób, aby władza nie miała poczucia, że rzuca się ją na kolana. Elementem tego może być na przykład zmiana nazwy z Wolne Związki Zawodowe na Niezależne Samorządne Związki Zawodowe. Dla władzy, jak się okazało, słowo „wolne” brzmiało prowokacyjnie, było nie do przyjęcia, i to z kilku względów. Po pierwsze, było to pośrednie oskarżenie organizacji związkowych dotąd funkcjonujących, że nie są wolne. To uderzało w poczucie godności działaczy partyjnych. Po drugie, przymiotnik mógł być odnoszony do nazwy Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych na Zachodzie. To były związki socjaldemokratyczne, chadeckie, ale nie komunistyczne, w związku z tym słowo „wolne” pośrednio wpisywałoby tworzący się związek w świat zachodni, przy istniejącym podziale Europy. Krótko mówiąc, to było dla rządzących bardzo

niezręczne i słowo „wolne” zastąpiono terminem „niezależne samorządne”. A przecież to nie zmieniało w żadnym stopniu sensu tego, co osiągnięto. Jest to dobry przykład problemu, który doradcy rozwiązywali.

M. Ch.-J.: *Samoograniczanie się strajkujących, żeby posłużyć się terminem wprowadzonym do dyskusji o Sierpniu przez Jadwigę Staniszkis, dało o sobie znać w fazie formułowania postulatów MKS, kiedy zrezygnowano z żądania wolnych wyborów.*

A. F.: Zastanawiano się też nad takimi żądaniami, dla których można by znaleźć precedens. Opowiadał mi Borusewicz, że na przykład postulat emisji mszy w radiu pojawił się stąd, że on gdzieś przeczytał, iż w NRD jest msza w radiu. Jeśli więc jest w NRD, to można ją wprowadzić w Polsce. Ale żądanie wolnych wyborów byłoby faktycznie wezwaniem do obalenia władzy komunistycznej. Byłby to postulat wprost skierowany do władzy, żeby się sama obaliła, bo partia wiedziała, że nie mogłaby wygrać wyborów. A zatem wolne wybory to zmiana ustroju. To byłby postulat, którego władza nigdy nie mogłaby przyjąć, a Moskwa w żadnym razie by na to nie pozwoliła. Takiego żądania oczywiście nie można było wysuwać, jeśli się dążyło do zawarcia porozumienia.

M. Ch.-J.: *Jak ewoluowało stanowisko kierownictwa PZPR, również w kontekście reakcji innych państw bloku komunistycznego na strajki sierpniowe? Co było decydującym czynnikiem, który sprawił, że jednak kierownictwo partyjne zdecydowało się zaakceptować wszystkie 21 postulatów?*

A. F.: Zdecydowało o tym wiele elementów. Przede wszystkim poczucie tego, że ten strajk się nie załamie, to znaczy, że on tylko się rozszerza. Zastrajkował Szczecin, potem Łódź i Wrocław, zastrajkowały wreszcie 29 sierpnia kopalnie i huty Śląska. I to właściwie był czynnik, który przesądził, że kierownictwo partyjne zdecydowało się na podpisanie porozumienia. Inaczej w kolejnym tygodniu właściwie cała Polska by stała, bez perspektyw wyjścia z tej sytuacji. Dlatego też partia się cofała. Wcześniej podejmowane były działania, żeby złamać solidarność strajkujących przez odrębne rozmowy. Tego spróbowała komisja wicepremiera Tadeusza Pyki w pierwszym okresie strajku powszechnego w Trójmieście. Okazało się to nieskuteczne. Przez cały czas trwały działania propagandowe – kampania prasowa, telewizyjna, przemówienia i apele do strajkujących czy próby zohydzenia ich przywódców – wszystko okazało się nieskuteczne. Strajk tylko rósł, mimo tych wszystkich przeciwdziałań. Pod koniec sierpnia władza miała trzy możliwe scenariusze rozwiązania problemu. Pierwszy to czekać dalej, ale to oznaczałoby, że zamiast 700 tys. strajkujących byłoby 1,5 mln. Być może mogłoby nawet dojść do lokalnych rozruchów. To byłoby bardzo niebezpieczne. Druga możliwość to podpisanie porozumień, co się zmaterializowało. I trzecia możliwość, co do której w MSW trwały przygotowania i właściwie do końca brano pod uwagę taki scenariusz – to uderzenie na centrum strajkowe, na stocznię, i próba rozbicia siłą strajku. Ale to byłoby awanturnicze działanie, bo nawet gdyby akcja się powiodła, reakcja solidarnościowa w innych ośrodkach byłaby oczywiście tak potężna, że Polska być może stanęłaby na krawędzi powszechnych rozruchów. Z tych trzech opcji kierownictwo partii wybrało tę, która dawała szansę dalszej gry, czyli podpisanie porozumień, a potem ewentualnie próby manipulowania treścią uzgodnień, rozgrywania przeciwnika. Kania zresztą powiedział: „Lepiej zrobić krok wstecz niż krok w przepaść”, i to dobrze

oddaje stan ducha na szczytach władzy. Natomiast co do Związku Radzieckiego, to oczywiście kierownictwo KPZR patrzyło na sytuację w Polsce z dużą obawą, z dużą złością i na ruch strajkowy, i na bezradność polskich towarzyszy. Ale nie zakazało podpisania porozumień ze strajkującymi. Przypominam o wizycie czterech członków kierownictwa PZPR u ambasadora Borysa Aristowa 29 sierpnia. Stwierdzono wówczas, że być może trzeba będzie podpisać porozumienie zawierające zgodę na powstanie niezależnych związków, i oczekiwano odpowiedzi z Moskwy, która jednak nie przyszła. Brak odpowiedzi to na szczęście nie zakaz, w związku z tym uznano, że trzeba to podpisać. Jak mi opowiadali ludzie będący wtedy we władzach PZPR, zwłaszcza Andrzej Werblan, który na początku września pojechał do Moskwy wyjaśniać sytuację, pytania Breżniewa dotyczyły przede wszystkim tego, jak w ogóle można było dopuścić do powstania takiego ruchu i dlaczego w ogóle to porozumienie zostało podpisane. Moskwa temu była bardzo nieprzychylna od początku.

M. Ch.-J.: Porozumienia Sierpniowe były zatem swego rodzaju mniejszym złem, jak powiedział Edward Gierek w czasie posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR. Kierownictwo PZPR wybrało to rozwiązanie, jak sądzę, również dlatego, że miało świadomość, iż postulaty strajkowe znajdują poparcie także w szeregach działaczy partyjnych. Zresztą już w czasie strajków w lipcu okazało się, że linia podziału nie przebiega wedle przynależności do partii. Rządząca ekipa znalazła się w sytuacji, gdy niepewna stała się też postawa własnych towarzyszy partyjnych.

A. F.: Tak jest. Ja bym powiedział, że oni bazowali na dwóch nadziejach. Po pierwsze, że działacze oficjalnych związków zawodowych popularni w swoich zakładach znajdują się w nowych związkach i zdołają się w nich wybić. Mają doświadczenie, wiedzą, jak rozmawiać z ludźmi, jak załatwiać sprawy, umieją się obracać w świecie instytucjonalnym i być może w ciągu paru miesięcy w wielu ośrodkach to oni przejmą inicjatywę od organizatorów strajków. A po drugie, oni liczyli na to, że nie powstanie jeden związek ogólnopolski, tylko będą to związki regionalne, związki lokalne, będzie ich dużo. Tymczasem sytuacja kompletnie zaskoczyła władze tym, że 17 września wszystkie nowo tworzone związki, nie tylko tworzone na bazie komitetów strajkowych, ale także tam, gdzie nie było strajków, połączyły się pod jednym przewodnictwem związku gdańskiego i Lecha Wałęsy, i utworzyły Krajową Komisję Porozumiewawczą. To było posunięcie w gruncie rzeczy nieprzewidywane przez nikogo. To znaczy ani przywódcy strajku sierpniowego nie spodziewali się, że powstanie jeden ogólnopolski związek zawodowy, ani oczywiście władze się tego nie spodziewały. Władze liczyły, że jeżeli będzie wiele organizacji związkowych, pozwoli im to na rozgrywanie między sobą związków i ich interesów, a w części uda się ulokować liderów bliskich partii. I zresztą tak się działo, przypominam, że w pierwszych miesiącach posierpniowych trwały dosyć duże tarcia między Gdańskiem a Szczecinem. Z kolei Międzyzakładowy Komitet Robotniczy Jastrzębia był, po pierwsze, bardzo niechętny Gdańskowi, po drugie, niechętny korowskiej opozycji, po trzecie, szukał powiązań z komitetem partyjnym w Katowicach, a nawet z Mieczysławem Moczarem, uważanym wówczas za silnego w partii i zarazem prezesa Najwyższej Izby Kontroli. To, że udało się utrzymać jedność „Solidarności” mimo różnej optyki i ambicji lokalnych liderów, bo to też trzeba wziąć pod uwagę, to w pewnym sensie był cud, jeśli znamy polską kłótniową naturę. Ogromną rolę odegrał też Wałęsa,

powszechnie uznawany w całym kraju za lidera i symbol „Solidarności”.

M. Ch.-J.: *Właściwie od połowy sierpnia w różnych relacjach: między liderami strajkowymi, między strajkującymi a władzami, wygrywała solidarność lub dążenie do kompromisu, a nie rywalizacja.*

A. F.: Tak jest.

M. Ch.-J.: *Mówimy zwykle o Porozumieniach Sierpniowych w liczbie mnogiej. W powszechnej świadomości najbardziej znane są te podpisane 31 sierpnia w Gdańsku i dzień wcześniej w Szczecinie. Umykają porozumienia podpisane przez stronę rządową i dwa inne MKS-y: 3 września w Jastrzębiu-Zdroju, w kopalni „Manifest Lipcowy”, oraz 11 września w Hucie „Katowice” w Dąbrowie Górniczej. Tymczasem porozumienie zawarte w Dąbrowie, ze względu na to, że miało gwarantować prawo do powołania Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych na terenie całego kraju, było swego rodzaju przypieczętowaniem postanowień gdańskich, taką kropką nad i.*

A. F.: Mówimy przede wszystkim o wielkiej polityce, natomiast porozumienia strajkujących z władzami dotyczyły wielu spraw pracowniczych. Tak było w dokumencie z Jastrzębia. Ogromna większość postulatów dotyczyła specyficznych problemów branży górniczej i hutniczej, wolnych sobót oraz właśnie kwestii nowych związków. Natomiast ma Pani rację, porozumienie w Hucie „Katowice” było kropką nad i. Ono potwierdzało, że związki mają powstać na terenie całego kraju i każdy może w nich uczestniczyć. Było to o tyle ważne, że zapisy porozumienia gdańskiego brzmiały niejednoznacznie. Jeśli je uważnie przeczytamy, to okaże się, że w jednym miejscu jest napisane, że będzie dotyczyło całego kraju, a w innym miejscu jest mowa o Wybrzeżu. Stąd pojawiła się niejasność, czy to porozumienie dotyczy całej Polski. Deklaracje były takie, że ustalenia mają się odnosić do całego kraju, ale nieprzypadkowo władze nie chciały, żeby od razu w Gdańsku podpisywać porozumienia ogólnopolskie. Pozostawiały taką furtkę. Porozumienie z Huty „Katowice” zamknęło tę furtkę, to znaczy ostatecznie przesądziło, że związki zawodowe będą mogły powstawać wszędzie, i w Rzeszowie, i w Zielonej Górze, czyli w takich miejscowościach, gdzie żadnych strajków nie było i teoretycznie władze mogły tam blokować powstanie organizacji związkowych. Zresztą próbowały blokować, utrudniać. Wykonano taki manewr, że rozwiązano Centralną Radę Związków Zawodowych, a należące do niej związki branżowe miały odtąd nazwę Niezależne Samorządne Związki Zawodowe Metalowców czy NSZZ Pracowników Przemysłu Spożywczego. Czyli wyprowadzono z dawnego CRZZ różne związki branżowe, nadając im nazwę „Niezależne i Samorządne”, robiąc ludziom wodę z mózgu, że to niby jest ten nowy związek. W wielu ośrodkach wywołało to ogromne napięcia i konieczność wyjaśniania: to nie jest ten związek zawodowy, nowy niby, a to my jesteśmy ten właściwy, związany z Gdańskiem. To był taki język tłumaczeń, zanim nazwa „Solidarność” powstała i upowszechniła się: „my jesteśmy z Gdańskiem, afiliowani do Gdańska”. Strajk w Hucie „Katowice” te niejasności przecinał, wszędzie mogły powstawać związki „związane z Gdańskiem”.

M. Ch.-J.: *Porozumienia Sierpniowe – przede wszystkim przez postulat niezależnych związków zawodowych – miały z jednej strony znaczenie symboliczne, gdyż kwestionowały hasło sprawowania przez PZPR władzy w imieniu*

robotników. A z drugiej strony wywołały liczne konsekwencje związane z praktyką sprawowania władzy, koniecznością podzielenia się władzą przez rządzącą partię z „Solidarnością”. Po powstaniu związku niektóre sfery życia ekonomicznego czy społecznego wymagały wynegocjowania pewnych kwestii z NSZZ „Solidarność”.

A. F.: Ich było całe mnóstwo. Zaczynając od ustawienia całej sytuacji w zakładach pracy, relacji z dyrektorem, relacji z dotychczasową radą zakładową, z podmiotami w gruncie rzeczy nieważnymi merytorycznie, ale istniejącymi, takimi jak samorząd. Było dużo problemów, które wiązały się z ułożeniem na nowo zakresu kompetencji. Jesienią 1980 r. ujawniły się problemy płacowe różnych branż, związane też z wynegocjowanymi w porozumieniach podwyżkami. Istotną kwestią było kształtowanie polityki gospodarczej. W porozumieniach przewidziano udział związków zawodowych w pracach nad reformą gospodarczą, o której zaczęto coraz więcej mówić. Tylko w tym wymiarze chodzi o udział „Solidarności” we władzy. PZPR pryncypialnie stawiała zasadę, że związek zawodowy nie może współdecydować o sprawowaniu władzy. Ale rzeczywiście wiele spraw wymagało uzgodnień, ponieważ państwo było również de facto organizacją gospodarczą. Po Sierpniu faktem stało się istnienie niezależnego podmiotu, z którym trzeba się umawiać co do różnych spraw gospodarczych, płacowych, zakresu stosowania bezpieczeństwa i higieny pracy, długości dnia roboczego i mnóstwa innych rzeczy. To powodowało, że system zaczął się zmieniać. Nowa sytuacja wymagała ciągłych negocjacji w różnych tego typu kwestiach, niby dalekich od spraw polityki, ale właśnie okazywało się, że nieodłącznie z nią związanych. Rzecz jasna aparat partyjny się przed tym bronił, próbował różne rzeczy robić po staremu i napotykał opór struktur „Solidarności”. Tu mamy w gruncie rzeczy odpowiedź na to, dlaczego po Sierpniu było tyle konfliktów. Nie tylko od razu strajkowych, ale różnych konfliktów, na różnych poziomach, między dotychczasowymi władzami a powstającym związkiem.

M. Ch.-J.: *Oprócz kwestii ekonomicznych w porozumieniach znalazły się też ewidentnie polityczne, związane z cenzurą, więźniami politycznymi.*

A. F.: W sprawie cenzury powołano komisję, toczyły się rozmowy i ostatecznie, po kilku miesiącach, na wiosnę 1981 r. powstał projekt ustawy regulujący sprawy cenzury, który został przyjęty przez sejm i wszedł w życie latem 1981 r. Przedmiotem pewnych kontrowersji był status biuletynów związkowych „do użytku wewnątrzwiązkowego”, wydawanych całkiem poza cenzurą, oraz ewentualnego rozpowszechniania publikacji opozycji demokratycznej wydawanych już od kilku lat, które nawet nie miały stempla „do użytku wewnątrzwiązkowego”, pism takich, jak „Krytyka”, „Zapis”, czy książek NOW-ej i innych wydawnictw opozycyjnych. Te wydawnictwa „Solidarność” brała pod swoją opiekę, chociaż w różnych regionach różnie bywało, a władza biernie się z tym godziła, zwłaszcza do pewnego momentu. Niektóre punkty porozumienia gdańskiego nie wywołały zatem jakichś wielkich napięć. Tak samo problem zwolnienia więźniów politycznych. Oni po prostu tych ludzi zwolnili i toczyły się jakieś dalsze postępowania, szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jak i do czego prowadziły, ale ci ludzie do 13 grudnia pozostawali na wolności. Osobnym problemem były aresztowania działaczy Konfederacji Polski Niepodległej we wrześniu 1980 i później. One dotyczyły nie wspierania ruchu

strajkowego czy działalności przedsiernpniowej, ale godzenia „w sojusze”, czyli atakowania ZSRR. Władze znalazły więc taką furtkę do oskarżeń, by to nie dotyczyło wolności zapewnionych w porozumieniach.

M. Ch.-J.: *Wprowadzie pewne posierpniowe zmiany, te w sferze mentalnej społeczeństwa i te dotyczące praktyki sprawowania władzy, jak choćby uchwalona ustawa o cenzurze, nie zostały cofnięte po 13 grudnia 1981 r., jednak wprowadzenie stanu wojennego wstrzymało procesy zmian zachodzące w następstwie powstania „Solidarności”.*

A. F.: Ja bym powiedział dużo więcej. Po Sierpniu w gruncie rzeczy zmienił się charakter ustroju. Zmienił się, ponieważ 10 mln obywateli zjednoczyło się w organizacji związkowej, która nie była kontrolowana przez władzę, która wysuwała różne postulaty i je realizowała. I w zakresie realizowania praw obywatelskich, i w zakresie oświaty, wydawania niezależnej prasy, i w zakresie manifestacji, i również w zakresie dyskusowania o historii w sposób niecenzurowany. Wreszcie w zakresie procedur i praktyki wybierania ludzi do różnych gremiów i władz stowarzyszeń. Rok 1981 to są wielkie wybory na różnych poziomach, począwszy od zakładów, w całej organizacji związkowej wybiera się delegatów. We wrześniu jest wielki zjazd „Solidarności”, delegatów wybranych przez zjazdy regionalne w całej Polsce. To są pierwsze nieskrępowane wybory od 1945 r. To wszystko spowodowało całkowitą zmianę logiki sytuacji. Władza nie była reżyserem i organizatorem życia społecznego, politycznego, gospodarczego, samorządowego, kulturalnego, lecz stała się jednym z uczestników całego tego procesu i powstały ogromne enklawy całkowitej samorządności, w kulturze na przykład. W szkołach „Solidarność” nauczycielska narzuciła zupełnie nowe reguły życia. Wielkie zmiany zaszły na wyższych uczelniach, łącznie z ustawą o szkolnictwie wyższym przywracającą autonomię i samorządność. W gruncie rzeczy wyłaniał się zupełnie inny system, w którym partia – owszem – rządziła tymi najwyższymi instytucjami, zwłaszcza aparatem przemocy, telewizją publiczną, oczywiście ministerstwami, ale nie miała możliwości twardego egzekwowania swojego języka ani swoich wyobrażeń politycznych, ani decyzji. Dlatego doszło do wprowadzenia stanu wojennego, bo logika tej sytuacji zmierzała do tego, że nastąpiłoby całkowite zautonomizowanie społeczeństwa i być może lokalnych ośrodków władzy. W roku 1982 miały się odbyć wybory do rad narodowych, których już nie można byłoby przeprowadzić z jedną listą zatwierdzoną w Komitecie wojewódzkim. W związku z tym system ulegał właściwie rozmywaniu. Istniało twarde jądro wokół KC PZPR i telewizji oraz ośrodków: MSW, MON, Ministerstwa Sprawiedliwości, ale i to wszystko się zmieniło. Przypominam: sądownictwo także przechodziło zmiany – to też jest temat jak najbardziej na czasie. To wtedy wymyślono nowe reguły funkcjonowania sądownictwa, izolowania ministra sprawiedliwości od spraw personalnych sądów, wprowadzając zasady wyboru sędziów przez samorząd sędziowski. W ciągu 1981 r. różnym koncepcjom nadano czasem kształt wręcz projektów ustawowych. Trwały trudne negocjacje z ministrem, ale reformy sukcesywnie zaczęły być w niektórych sferach realizowane, na przykład w Warszawie według nowych zasad odbyły się wybory prezesa Sądu Wojewódzkiego i wcale nie został nim ten, kogo chciał minister, lecz sędzia związany z „Solidarnością”. Ten proces budowania samorządnego społeczeństwa demokratycznego postępował bardzo wyraźnie w ciągu 1981 r. i oczywiście to był skutek Porozumień Sierpniowych, bo one otworzyły drogę do samoorganizacji

społeczeństwa. W porozumieniach też zapowiedziano potrzebę reform w wielu dziedzinach.

M. Ch.-J.: *Na koniec, Panie Profesorze, chciałam zapytać, czy wprowadzenie stanu wojennego i jego następstwa w dłuższej perspektywie nie zatarty znaczenia Porozumień Sierpniowych, przesuwając je raczej ku sferze symbolicznej, co spowodowało, że umyka ich rola jako dokumentów sprawczych fundamentalnych zmian politycznych, społecznych, mentalnych polskiego społeczeństwa w latach osiemdziesiątych?*

A. F.: Trudno powiedzieć. Myślę, że to jest może kwestia pokoleniowa. Nie mam poczucia, że w stanie wojennym została zatarta świadomość znaczenia Sierpnia. Pamiętam doskonale, że postulaty okresu stanu wojennego i lat późniejszych cały czas się koncentrowały wokół tego, że trzeba wrócić do Porozumień Sierpniowych, że to Porozumienia Sierpniowe są, nazwijmy to, kartą wolnych Polaków. I te wszystkie ustalenia zawarte po Sierpniu, z robotnikami, ze studentami, powinny być realizowane. Wyjście z kryzysu powinno polegać na powrocie do tych reguł – nie tylko do samych zapisów tych porozumień, ale reguł, czyli że zorganizowane społeczeństwo porozumiewa się z władzą i coś negocjuje. W tym sensie negocjacje 1989 r. i Okrągły Stół absolutnie wychodzą z samej istoty Porozumień Sierpniowych, z tego sposobu walki, sposobu zapisywania tych kompromisów i są kontynuacją tej drogi, na którą weszły związek i polskie społeczeństwo w czasie Porozumień Sierpniowych. Mam wrażenie, że zacieranie się tej świadomości nastąpiło już po roku 1989 czy 1990. Mało kto już wraca do treści dokumentów z sierpnia i września 1980 r., mało kto chce wracać do szczegółowego przebiegu zdarzeń w Sierpniu, choć to jest wszystko opisane bardzo dobrze. Im bardziej oddalamy się od tego, czym był system PRL, i od rozumienia reguł tego systemu, tym bardziej zatracamy zdolność oceniania zjawisk związanych z porozumieniami czy treścią tych porozumień.

M.Ch.-J.: *Panie Profesorze, dziękuję za rozmowę.*

Korekta językowa: Beata Bińko

Z treścią 21 postulatów MKS w Stoczni Gdańskiej oraz porozumień podpisanych na przełomie sierpnia i września 1980 roku można się zapoznać pod poniższymi adresami:

<http://www.solidarnosc.org.pl/21-postulatow>

http://www.solidarnosc.org.pl/stara/uploads/oryginal/0/41049_gdansk.pdf

http://www.solidarnosc.org.pl/stara/uploads/oryginal/0/0af9f_szczecin-1.pdf

http://www.solidarnosc.org.pl/stara/uploads/oryginal/0/ba583_jastrzebie.pdf

http://www.solidarnosc.org.pl/stara/uploads/oryginal/0/9f336_katowice.pdf

Redakcja składa podziękowanie panu Michałowi Bednarczykowi za dokonanie transkrypcji wywiadu.